№ 8.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1845. Poznań, dnia 14. Kwietnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Nie raz napotykaliśmy dzieci, które wychowywane jak zwykli nazywać starannie, zadziwiały nas swoim rozumem i zdolnościami nad wiek, kiedy drugie w tych samych latach lecz mniéj troskliwie na pozór prowadzone, nie zwracały nawet naszéj uwagi, tak nam się zdawały pospolitemi. Ale kiedy te dzieci przychodziły do lat młodzieńczych, gdzie nauki i dostrzeganie otaczającego życia, nie mogą już być mechanicznem naśladowaniem, lecz samodzielnością myśli, wtedy nieraz owe rozumne dzieci z niemałém naszém zadziwieniem ujrzeliśmy z miałkiém pojęciem, a natomiast między drugiemi nie trudno było znaleść prawdziwe zdolności.

I cóż tego przyczyną? Oto zaledwie rozbudza się ta nowa istota, zaczyna rozkwitać w swéj wolności, wszystko wytężają na to, aby ją ścieśnić — zadusić i naciągnąć podług przywidzianych formułek — i ten kwiat pełen życia śpiesznie ściskają, oprawiają w żelazne ramy tych formułek, po za które nie wolno mu wychodzić. Biedny kwiatku! za bardzo im się rozwijasz — za bujnie wzrastasz — zasychaj tak, byleś za ramki nie przeszedł.

I cóż to tak wyrywają — wytępiają z téj młodéj duszy? Oto jéj żywioł indywidualny, jéj oryginalność, przez którą odróżniałaby się od drugich, przyniosła nowy, świeży charakter społeczeństwa — a nie jedna może wyrosłaby na jeniusz. Przy takiém wychowaniu choć przy zdolnościach muszą wyrastać ludzie bez rzutkości i śmiałości myśli, wiecznie jakby chodzący na paskach niańki. Są one na podobieństwo rośliny, która przywiązana do słupka, rośnie mu całkiém podobną, prosto — regularnie, ale nigdy nie zazieleni liściami bluszczu.

Przejdźmy znów myślą dzieciństwo ludzi, którzy się oznaczyli wyższemi zdolnościami, a nie wątpliwie, każdy z nich wzrastał duchem wolno, swobodnie, jak młody ptaszek, który wypuszczony z pod skrzydeł matki, próbuje raz po raz sił, to wzlatuje ku niebu, to znów zmęczony i niepewny lotu, wraca, przytula się jeszcze do niéj — lecz własne życie ducha tém rozbudza.

Niechcę ja tu dowodzić, żeby podpora słabéj i wiotkiéj istocie nie miała być potrzebną, owszem moralne i naukowe kształcenie jest koniecznem dla ducha ludzkiego, to mu ukazuje całą przestrzeń przeszłości i otwiera bramy przyszłości. Lecz naginanie każdéj myśli — każdego kroku dziecka jest zabójczém dla niego. Z najlepszemi chęciami przyciskając tę młodą latorośl, musi się kończyć na tém, iż ta wysusza własne i żywi się wiecznie cudzemi, idzie całe życie niewolniczo za myślami drugich, bo twórczość ten prawdziwy kwiat ducha ludzkiego, którą każdy w mniejszéj lub większéj części z sobą na świat przynosi, jest w nim zatraconą.

Wychowując więc dzieci, złą ci im przysługę oddają, którzy niemi w każdéj chwili życia dysponują. Im wolno otwierać tylko drogę do dobrego i pięknego, nauczać stawiać kroków, lecz nie kierować każdym w szczególności. Owszem ile można zostawiać im wolę, niech się uczą jéj używać, niech samodzielność rozbudzają w sobie; a jak przy wolnych i nieskrępowanych ruchach rośnie ciało silne i zdrowe, tak i duch nieścieśniony, potężniejszy wyrość musi.

Przechadzki i rozmyślania.

PRZEZ

LUCIANA SIEMIEŃSKIEGO.

Widok z Białéj Góry — Winnice — Koloryt miejscowy małego miasteczka — Zamek Oleski — Marcijanna Daniłowiczówna i Adam Żółkiewski — Samobójstwo — Pokój, gdzie się rodził król Jan — Przepowiednie — Żona doży — Juśkowice — Wzór domu i obywatela — Alexy Orłow.

(Ciąg dalszy.)

Od wchodu lewa strona zamku nic nieprzedstawia godnego uwagi; zdaje się, że była zawsze przeznaczoną dla sług i domowników, izby są małe i bez ozdób. Prawa zaś i front, noszą jeszcze ślady lubo bardzo zatarte, wspaniałéj przeszłości. Wszedłszy po nowożytnych drewnianych wschodach na pierwsze piętro, przedstawia ci się dość gustowny salon o mozajkowych kolumnach z widokami malowanemi na ścianie; ale go omijasz skwapliwie jako pomnik świeżego smaku. Zato, obok będąca komnata, z wielką alkową, zaczyna cię witać starszym już językiem. Wysokość jéj dwa razy prawie taka, jak bocznego salonu; ogromny kominek z niezmiernym piecem róg jeden zalegają. Okap kominkowy przedstawia w rzeźbie homeryczne figury, Parysa dającego jabłko najpiękniejszéj bogini — na nieszczęście! Parys jest w peruce z czasów Ludwika XIV, boginiom też nie braknie na fryzurach. Sufit okrywa wielkie płótno w złoconych ramach; na niém malowane olejno porwanie Europy. Ściany popackane na zielono mają kilka portretów Jana IIIgo i Maryi Kazimiry; — miało ich być tu więcéj, ale jedne wzięto do Podhorzec, drugie po rękach się rozeszły. Przed alkową stoją dwa sążniste drewniane posągi podobnoś Apolina i Dyanny, suto niegdyś złocone, dzisiaj biały gips tu i owdzie przegląda. Są to resztki smaku jaki panował u nas za Augusta II, czyli mody, sprowadzonéj z Francyi. Z tém wszystkiem najwspanialsza to komnata z całego zamku. Niewątpię, że w dawniejszych nawet czasach, jeszcze za Daniłowiczów musiała być przeznaczoną na pokój bawialny, a jeżeli mię domysły moje nie zwodzą, kto wie, czy nie tutaj odegrała się owa straszliwa trajedyja, tak zimno opisana w starych pamiętnikach?

Było to roku 1615. Po wieczerzy, wojewoda ruski Daniłowicz, gospodarz domu, zasiadł do kart z Adamem Żółkiewskim oboźnym koronnym, a synowcem hetmańskim. Niedaleko grających a może i naprzeciw oboźnego, siedziała piękna i wstydliwa Marcyjanna Daniłowiczówna. Oboźny niewiele musiał dawać baczenia na karty, i Bóg wie, jaka tam walka toczyła się w jego duszy, ile spojrzeń płomiennych nieposłał, które się odbiły o wstyd i spuszczone oczy dziewicy! Patrząc na dwoje tych młodych ludzi myślałby kto, że przeznaczeni dla siebie, on taki śliczny, że na weselu Zamojskiego z Batorówną przebrany był za Dyannę, pełen dworskiego poloru, pełen światowości, umiejący życie używać roskosznie, czasem niepomiarkowanie, a nadewszystko zakochany po uszy, w téj skromnéj, klasztornie wychowanéj pannie, co jak gołąbka stulała skrzydełka ilekroć padał na nią namiętny wzrok młodzieńca. Tu znowu ojciec panny, wojewoda ruski, surowy, groźny, nielubiący ani włoskiéj miękkości, ani rozrzutnych fantazyi młodego kawalera, a ztąd nieprzychylny ich związkowi. Jaki dramat! któżby się spodziewał, że piąty akt już blisko? że się rozwiąże tak okropnie, tak niespodziewanie. Oboźny, czy to przyprowadzony powierzchowną oziembłością panny do rospaczy, czy też w zamiarze pobudzenia jéj do litości nad sobą, porwał nóż leżący przed panem Cetnerem, westchnąwszy a pojrzawszy na Marcyjannę, w się nim chyżo uderzył, jak mówi pamiętnik, co panna widząc krzyknęła. Wszyscy się porwą, a on powstawszy, ku służbie poszedł, a tam wsparłszy się upadł i *expiravit*, Panny Najświętszéj o ratunek prosząc i wzywając jéj a mówiąc: *Niechciałem tak!*

Wiem nieszczęśliwy młodzieńcze, żeś tak niechciał uczynić; żebyś tego nigdy niebył uczynił; bo w owych czasach czerstwéj jeszcze wiary, samobójstwo było niesłychaną zbrodnią. Dzisiaj co innego, dziś, napisanoby o tobie Werterowski romans, poetyzując grzeszne szaleństwo, albo sofistycznie usprawiedliwionoby, żeś niemógł inaczéj skończyć, żeś dobrze skończył. Fałszywa doktryna z gruntu podkopała szczęście człowieka; ona się odzywa do niego: żyj sam dla siebie; i wlewa mu niesmak do życia; przeciwnie prawda religijna rozkazując mu żyć dla drugich, osładza to życie ciężkich doświadczeń, tém bardziéj, że poświęcenie się wzajemne, bez którego żadne społeczeństwo ostać się niemoże, jest oraz zasadą na któréj gruntuje się byt i utrzymanie każdego człowieka z osobna. Wyłamywać się z powinności życia dla drugich, mieć tylko wzgląd na siebie, opisywać się osobném kółkiem, w niém zakładać całe szczęście, jest szaleństwem i zbrodnią zarazem. Ztąd też dzisiaj człowiek uwielbia się w swoich chuciach; wszystko im poświęca, a w końcu jeźli potrzeba; i samego siebie; samobójstwo więc, okropna i osta-

teczna ofiara na ołtarzu egoizmu, niczém niejest w istocie, tylko ofiarą z całego siebie dla siebie.

Przeszłość minęła na zawsze, i nikt jéj niewskrzesi; to więcéj niż pewna; ale uciekać się do niéj, stawiać ją do miary z teraźniejszością zawsze wolno; choćby tylko dla tego, aby wypocząć śród jéj wzniosłej prostoty, i szukać ukrzepień w téj twórczéj sile utrzymującéj społeczność ówczesną, która dziś zamieniła się w rozwiązującą wszystko rozbiorowość i zwątpienie.

Przepraszam za te moje rozmyślania, z uszczerbkiem opisu Oleskiego zamku; i spieszę do komnat wyższego piętra.

Przeszedłszy jakiś korytarzyk, sionkę i kilka drobnych klitek, wprowadzony jesteś do komnaty obszernéj, ale w najopłakańszym stanie. Większa część szyb w oknach wybita, zastąpiono je gontami, albo deskami; szkoda tylko, że to nie są wpół przejrzyste błonki, boby przypominały pierwotne słowiańskie wieki. Na posadzce, niegdyś kamiennéj, dziś niewiem jakiéj, dla warstwy śmieci i gruzów, stoją kojce i różne gospodarskie naczynia; a gadatliwą rodzina kurcząt przechadza się bez żadnéj osobistéj dumy po komnacie, gdzie mały Sobieski niegdyś pierwsze kroki stawiał. Pokój ten musiał być wielce wspaniały, znać to po mozajkowanych ścianach; po świecącéj gdzie niegdzie pozłocie, a nadewszystko po płaskorzeźbach w kształcie medalionów na suficie; gdzie jeszcze można wyczytać napisy: *Horatius, Virgilius, Naso.* Zapewne jakiś wielbiciel arcydzieł Rzymu, jaki Muz przyjaciel, wypoczywając po tańcach z Tatarami, upiększył sobie ten kątek do rozmyślań poobiednych. Mógł to być ojciec króla Jana, prawdziwy typ starego Rzymianina, a razem i obywatela Polaka, który może z panem Orchowskim mistrzem do jego synów, naradzał się, kogo tam wprawić w te złote ramy, i jaką opatrzyć dewizą? — Próżnobyś tu pytał o szczegóły mogące cokolwiek wyjaśnić; jeżeli były jakie tradycye, to w przechodzeniu zamku z rąk do rąk, z bogatszych do coraz uboższych rodzin, musiały się coraz urywać, nakoniec pogrążyć w niepamięć bez śladu. Jedna tylko, jedna, ocalała i to już niewiem jakim sposobem. Z izby rzymskich poetów prowadzą wąziutkie, kręte wschódki na wyższe jeszcze piętro; udawszy się niémi, wejdziesz do szczupłego pokoju, którego ściany fioletowe, błyszczą jakby szkłem potłuczonem; w izdebce téj — król Jan się rodził!

Aczkolwiek historyczna prawda ujmuje mu wiele uroku, jednakże nieprzestaje on być ostatnim bohaterem rzeczypospolitéj szlacheckiéj, i zawsze należeć będzie do najpoetyczniejszych postaci na czele owych skrzydlatych hufców pancernych pod Chocimem i Wiedniem, które tam po raz ostatni skruszyły kopije, i już ich więcéj niepodniosły; z nimi zgasł bowiem stary tryb wojowania i duch chrześciańskiego rycerstwa. Dla tego zabiło mi serce gwałtowniéj, kiedym pomyślał, że o te ściany obił się pierwszy płacz dziecięcia, co miało dźwigać potém tak ciężką koronę. O, żeby też choć ślad jakikolwiek! Nic, nic; puste kąty, kurz i pajęczyna! Opisując Podhorce, nadmieniłem téż i o marmurowym stole; nie tam, ale tu jego miejsce, tu on stać powinien, i zwiedzającym zamek, opowiadać legendę o chrzcie małego Janka. Dziwna to legenda; a co więcéj, dotykalném swiadectwem poparta. Posłuchajmy jéj:

„W wigilią Przenajświętszéj Trójcy d. 2. Czerwca 1624. r., urodziło się dziecię w zamku Oleskim. Skoro odebrano niemowlę, i po obmyciu go położono na stole marmurowym, który w téj chwili, jak gdyby zrysowany piorunem przepękł się na dwoje. Rzecz dziwna, przytomnych zasępiła, a wielebny ojciec Siemiaszko z monasterku bazyliańskiego, znajdujący się przy tém milczeniu, rozerwał je témi słowy: Znać, że niemowlę to z poręki wszechmocności chwałę odebrało, która w całém chrześciaństwie walor mieć będzie; świetna ta jednak chwała w czasie dalszym przepęknie się, i polskiemu narodowi szkodliwą się stanie.“

Wiadomość ta wypisana z notaty znajdującéj się na okładkach mszału w monasterku Pleśniskim; a rysa prorocza popiera podanie; bo ją każdy zwiedzający Podhorce, może namacać na czarnym marmurowym stole, ktory niewiem dla czego przecięto na dwoje, i dwa zrobiono stoły. Zdaje się, że mały Janek był nieposolitém dziecięciem, i że przyszłą jego wielkość często mu przepowiadano; aczkolwiek niemogę ręczyć ażali te wróżby nie są późniejszym wynalazkiem, kiedy już korona zdobiła jego czoło. Między innymi Żórawski matematyk, przypatrując się temu chłopięciu, i podziwiając jego układność a symetryą, a bardziéj obyczaje niepospolite, miał wieszczym duchem powiedzieć: *Aut Rex, aut prorex.* Piękny komplement, który musiał rodzicom pochlebić, ale nadzwyczajnym się niewydał, bo któż nie marzył o koronie przy wolnéj elekcyi? Inny znowu professor w akademii krakowskiéj, gdy mu Sobieski podał upadniony biret na ziemię, wyrzekł niemniéj proroczo: *Non moriar, donec video Diadema in capite tuo.* Te ścigające go od dzieciństwa przepowiednie mogły łatwo w późniejszym czasie pobudzić go do intryg i do nienawiści przeciw Korybutowi, a może jak mniemano, przy-

spieszyć śmierć niedołężnego króla. Niechciałem tém podejrzeniem plamić sławy bohatera, ale obok męztwa i jakiéjś awanturniczéj rzutkości, charakter jego w innych stosunkach życia, niemiał wszystkich stron pięknych.

Późniejsze dzieje mieszkańców zamku zbyt wchodzą w obręb powszechnego życia, i trudno byłoby coś wydobyć dla zaspokojenia ciekawości lub zatrudnienia wyobraźni. Powiadano mi tylko, że niedawnémi czasy mieszkał w nim obywatel pełen poświęceń dla kraju, znany z głosów na sejmach konstytucyjnych, i wystawianych własnym kosztem szeregów. Tutaj téż zakończył piękne życie cierpiąc lat wiele pomięszanie zmysłów. Niewiem jaka była przyczyna jego choroby? wolę jednak wierzyć, że to samo, na którą cierpiał Tadeusz Rejtan.

Otóż już wszystko z pamiątek i wspomnień! Trzeba mi przegnać kolebkę bohatera i raz jeszcze spojrzeć przez okno na kraj czarowny i szeroki, który mi szepce pociechę o wiecznie trwałych i odmładzających się pięknościach natury. Trzeba pożegnać i tę uroczą dziewicę, co jak topolka w cieniu wyrasta, i zda się uśmiechać słodką nadzieją do młodego świata. Jak tam na łąkach, tak i w tém łonie życie gra całą siłą — ale strzeż się moja lilio: łąki Bóg odmładza co rok, a tobie ludzie mogą odebrać świeżość i młodość i zestarzeć cię przedwcześnie i na zawsze!

Złowrogie przeczucie sprawdziło się. Przypominacie sobie ową powieść Hofmana: Marino Faliero, w której tak rzewnie, tak wiernie maluje cierpienia młodéj małżonki starego Doży? Pamiętacie jak łódź ich lekko się suwa po lagunach śród roskosznéj i ciepłéj włoskiéj nocy, którą rozbudza piosneczka gondoliera:

Ah! senza amare,
Andare sul mare,
Col sposo del mare
Non puo consolare.

Jakżeż ją wskroś przenika ten krzyk młodocianego czucia! Biedne dziecię więdniało dotąd, niewiedząc czemu ją taki ciężar przytłaczał; i po raz pierwszy postrzega próżnię w swém sercu! Poślubiona bogactwu nie miłości, skazana żyć próżnością, nie przywiązaniem, wyciąga białe ramiona ku jakiejś uroczéj marze, całkiem niepodobnéj do posiwiałego Doży..... Resztę, kto chce niech dopisze.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Obrazy Wincentego Pola.

Świeżo wyszły z druku „Obrazy Wincentego Pola,“ wydane we Lwowie, o których wydawca w przedmowie swojéj powiada, że należą zupełnie do przeszłości, gdyż autor przeszedł od lat kilku na pole nauk przyrodzonych; a zatém z tém większym zapałem przyjęte być powinny przez czytającą publiczność. „Płody te, mówi daléj przedmowa, noszą prawdziwą cechę narodowości i uczuć czysto religijnych odzianych w barwę prawd przystępnych i pociągających obrazów.“ Znakomite w literaturze nazwisko jakie zjednał sobie Wincenty Pol zasługuje zewszechmiar, abyśmy się bliżéj przypatrzyli obrazkom jego. Są one nam już od dawna znane, czytaliśmy je bowiem w rozmaitych pismach, gdzie jako ulotne dziennikowe artykuły przeszły jak zwykle niepostrzeżone, lecz gdy się zbiegły już w poważny format książki, milczeć o nich dłużéj nie godzi się.

Jakkowiek cecha narodowości i uczuć czysto-religijnych odzianych w barwę prawd i obrazów nie wielce zrozumiałe jest oszacowanie wydawcy, przyznać jednakże musiemy, że trudno było co więcéj powiedzieć, coby niby jak pochwała wyglądało, jeżeli oczywiście narodowość zależy na wyliczaniu geograficznem miast i gór w powieści lub obrazie wzmiankowanych, a religijność, na kilkakrotném nawiasowém wspomnieniu o Bogu, potrzebie wiary i t. d.

W naszych czasach tak wiele piszą, a tak mało jest ludzi, którzyby za pomocą rozsądnéj, a koniecznéj krytyki kierowali piszącymi, iz nie zawadzi tu powiedzieć w krótkości, jak rozumiemy krytykę co do dzieł mianowicie belletrystycznych, których jest najwięcéj, każdemu bowiem zdaje się być łatwém, przy trochę wyobraźni, nieco oczytania, i wielkiéj pamięci, skleić powiastkę, romans lub obraz. Lecz my nieżyjemy w czasie, w którymby wolno było bawić się tylko; czas rekreacyi przychodzi zwykle dopiero po czasie pracy i naukom poświęconym; my którym tyle zostaje do ożywienia na polu nauk ścisłych, historyi i prawd społecznych, moglibyśmy zabawkę romansów zostawić narodom, które już wypracowały sobie prawo odetchnienia czasem po walkach przebytych, trudnościach zwyciężonych. Myślący więc człowiek każdy, biorąc pióro do ręki, powinien mieć na główném uwadze pożytek jaki z jego pisma spłynąć może dla ogółu. Jeżelibyśmy zatém, bojąc się zarzutu przesadzonego puryzmu, przyjęli nawet po-

wieści i obrazy jako dzieła dziś nam przyzwoite, to chyba takie, któreby czytającym przyniosły jaki pożytek; nie zaprzeczamy nawet, że przy takiéj ilości czytających, których wielką połowę, czy wychowanie czy siły umysłowe nie usposabiają do głębszych badań, można najdzielniéj wpływać powieścią obyczajową, któréjby było zadaniem kwestye żywotne, kwestye bytu społecznego, poprawy obyczajowéj, jasno wyświecać i robić przystępnémi ogółowi. Sposób, jakim autor wplecie w powieść myśl pożyteczną, myśl, która ma być ziarnem przyszłych owoców, zrobi ją interessującą nad inne, ugrupuje w około niéj w zajmującéj, ciekawość wzbudzającéj całości, utwory swéj wyobraźni żywe i prawdziwe, stanowić będzie artystyczność takiego dzieła. Moralność zaś jego spoczywać będzie na prawdzie, ale prawdzie dobrze zrozumianéj i uczutéj przez autora, który w sobie mieć powinien jéj ideę zdrową i nieskrzywioną. Jakoż zdaniem naszém moralniejsza będzie powieść wyobrażająca prawdziwie wydarzony, a tak zwykły upadek cnoty, od romansu skłamanego przez pióro podchlebiające wygodnemu optymizmowi, w którym kara, jak *deus ex machina* pada na zbrodnię. I te to w piszącym kapłaństwo prawdy tego najwyższego bóstwa naszego, będzie najlepszym dowodem jego religijności. Z tego cośmy powiedzieli wynika, że powieść trzy główne powinna mieć własności; prawdę, dążenie pożyteczne, i artystyczne ułożenie. Gdzie tego niema, ani cecha narodowości z jakiegoś tam podania zamarłego wyjęta, ani cecha religijności téj lub owéj wierze schlebiającéj, temu lub owemu przesądowi potakującéj nic nie pomogą: będzie to trup z krzyżem w skośniałych palcach; przeżegnać go, i w ziemię z nim; nam potrzeba żywych ludzi i myśli jędrnych. Że tak długiéj przedmowy do ocenienia tak lekkiego pisma, jakiém są obrazy Pola użyliśmy, służyć może za najlepszy dowód, jak wysoko kładziemy talent jego; człowiek zaś z talentem wyższym, jeżeli z jednéj strony sprawiedliwie żąda czci mu należnéj, z drugiéj niech się nie dziwi jeżeli go surowszy od drugich zdybie sąd. Tomik, który mamy pod ręką, składa się po części z obrazków, po części z powiastek, chociaż pod ogólném mianem obrazów. Tu musiemy napomknąć, że wielu z piszących niesprawiedliwie nazwiskiem obrazów, jakoby mniéj obiecującém od powieści, chce się zasłonić od zarzutu niewykończenia. Obraz jak i powieść powinien mieć swoją całość artystyczną, prawdę i dążenie pożyteczne, a jeżeli mniéj potrzebuje powieściowego zawikłania, natomiast odpowiednią nazwisku swemu posiadać powinien plastyczność, jak w obrazie malowanym wszystkie figury artystycznie odcieniowane powinny mistrzowskiém rozłożeniem światła i cieniów wystawać jakby żywe. Jako obrazki tedy w tym zbiorze uważać należy: Tańkę powieść góralską; Powrót z podania, Trefniś z podania; Obiad czwartkowy, i nawet Semenowe powieści. Karusia zaś i Nieźli są ludzie mają już pretensyę do powieści. Tańka jest to podanie o brance tatarskiéj, która rzuciwszy dziecko tatara, u którego w czasie niewoli służyła w płonący piec zamiast chleba, który jéj upiec kazano, i przechowawszy się czas jakiś w brzuchu zabitéj przez siebie klaczy, z drugą rodaczką ucieka nazad do ojczyzny. Rzecz sama mało bardzo ma interessu historycznego, dramatycznego jeszcze mniéj, chociaż opowiedziana ze zwykłym autorowi wdziękiem, i zaniedbaniem, które dosyć dobrze naśladuje gminne opowiadanie; ale z tła obrazu, prócz kilku gminnych wyrażeń jednemu lub drugiemu cyrkułowi właściwych, nie występują dobitniéj owe góry tatrzańskie, których się spodziewamy po nazwie powieści góralskiéj. Tańka jest góralka, mieszka w cbyży (chacie), trzy lata trzęsła ją ciotka (febra), kilka nazwisk miasteczek i zamków podgórskich, i na tém kończy się koloryt góralski. — Powrót jestto półtora kartki długa wiadomość o Janie III. i kowalowéj z Jaworowa tańcującéj z królem, który w końcu śpiewa krakowiaka, dobra na notę do jakiego zbioru anegdot o Janie III. Do tegoż zbioru anegdot o Sobieskim należy Trefniś Winnicki, który z wielkim sprytem, po długim tak naciąganém przygotowaniu, jakby je późniejszy jaki dowcipniś wymyślił, osadził Francuza z dworu królowéj na koszu z jajami. Opowiadanie żywe i czasami dowcipne, choć gdzie niegdzie rozwlekłe, jak się to zwykle trafia opowiadającemu wydarzenie, którego dowcip ma się w końcu pojawić. Lecz już w tym obrazku jest więcéj prawdy; barwy w opisaniu pożycia domowego Jana III. i Marii naturalne, choć może darmo strwonione na tę anegdotę bez wszelkiéj ceny wewnętrznéj. Nierównie lepiéj obrobiony jest Obiad czwartkowy; tu już król Stanisław, błaznujący Turkuł, dworacy uczeni występują żywiéj z obrazu; bernardyn nawet z swoją perorą, jakkolwiek w niéj znać zbytnią zbieraninę z różnych przemów podobnych, artystowsko schwyconych. Rozmowa cała jest za leniwa, i nie wiele interessuje z winy samego przedmiotu tylekroć obrabianego, a tak niegodnego obrobienia. Czyliż bowiem nie jest to największe marnotrawienie talentu, wydobywać z łona pamięci, i obrabiać płaskie koncepta tego stołu stanisła-

wowskiego, z którego nie jak ze stołu króla Artura wychodzili dzielni mężowie czynu, i dzielne oręże, ale przeciwnie ta rdza co nam przegryzła dawne szable nasze, rakiem francuzkiéj pogadanki o niczém wjadła się w wyższe towarzystwa, i dotąd je gangrenuje. I trwa ona dotąd podobno ta niestrawność po cudzéj kuchni, którą niejeden wyniósł z czwartkowego obiadu.

Powieści Semenowe, jakkolwiek fragment tylko bez całości wszelkiéj, jest zdaniem naszém najlepiéj udatnym obrazem z całego zbioru, co się tycze artystowskiego obrobienia szczegółów, boć nawet nie może być mowy o jakimkolwiek pożyteczném dążeniu tam gdzie stary kozak opowiada starsze od siebie bajdy, o czarownicach, latających po powietrzu młodzieńcach i o skarbie w Zacławiu, bajeczce zapomnianéj już nawet między niańkami wołyńskiémi. I dla tego te Semenowe powieści byłyby doskonałe jako epizod jakiéj większéj powieści, w któréjby wyglądały jakby cień służący do lepszego odbicia światła. Opowiadanie jest pełne życia, koloryt stepowy szczęśliwie odgadnięty; opisy naprzykład ranku chłodnego, szczucia zająca po stepach, noclegu na wonném sianie pod gołém niebem tak naturalne, że się zdaje oddychać szerokich płaszczyzn powietrzem, słyszeć pieśni kozackie niknące bez echa po dalekich mogiłach. Tu autor jest w swoim żywiole; Semenowe powieści, to prawdziwa bez rymów tylko pogadanka kominkowa, w któréj niezaprzeczenie jest mistrzem. Też same krótkie urywkowe opisy, toż szczęśliwe schwytywanie tych drobnych zarysów, niknących często przed okiem patrzącego z wyższego stanowiska; też zastósowanie zwrotów mowy, pomysłów, nawyczek narodowych, za których bogactwem ledwie się chce dopatrywać, jakie tam tło w głębi, a których przyswojeniu, i używaniu winien głównie autor obrazów, tę popularność jaka rzadko zdybuje piszącego po tak nielicznych jeszcze dowodach talentu.

Do większych w tym tomiku utworów należy Karusia i Nieźli są ludzie. Karusia ma piękne, bardzo nawet piękne miejsca, ale żadnéj całości, żadnego artystowskiego obrobienia. Zaczęcie pyszne, przyjazd Władysława do domu w noc zimową zawieruszną; we dworze ciemno, pusto, bo wszyscy korzystając z niebytności pana, poszli hulać na wieś: wjazd gości, krajobraz zimowy, zamięszanie we dworze, spryt ekonoma; wszystko to ładnie oddane, bo prawdziwe, bo te barwy autor brał koło siebie. Pan Władysław i jego towarzysze rozgrzawszy się, zaczynają gawędzić; p. Władysław mimo demonicznéj gry oczów pożyczonéj u powieściarzy francuzkich, wydaje się być spokojnym chłopcem, aż dopiero gdy rozmowa padła na ożenienie się, dowiadujemy się, że jest nieszczęśliwy, bo kocha bez nadziei. Rozpowiada przeszły swój żywot; historya dość długa, za długa nawet w późny wieczór i po mroźnéj przejazdzce, ale co gorzéj, że długo i rozwlekle, a bez interessu, któryby pochodził bądź z przedmiotu, bądź z schwytania onego, bądź z myśli jakich pięknych, ciągnie się intryga powszednia, a nieprawdziwa, bo nie z naszego życia wzięta, ale jakby ze starego jakiego romansu francuzkiego. Władysław straciwszy ojca szulera i rozpustnika, wychowuje się pod opieką zacnego i światłego jenerała M. i okiem matki do czego przykłada się Pijar, człowiek także światły; następują nauki Pijara, bardzo moralne, ale ogólnikami dobrze znanemi zbyte, w końcu których Pijar każe mu pisać dziennik, a matka nie żenić się bez miłości. Zaprzyjaźnia się z Leonem, który ma siostrę Julię, bawiącą przy ciotce, także światłéj matronie; nie znają się jeszcze przyśli kochankowie, ale pisują do siebie przypiski. Zaczynają sny dręczyć Władysława; Pijar go gromi za to, mówiąc: „a gdzie wiara, a gdzie filozofia!“ i tak się to ciągnie, aż nareszcie Władysław idzie do bióra ministra dającego zdania swoje o nim i o Leonie po francuzku, poznaje się na wsi z Julią; kochają się, jeżdżą po stawku jak to bywa zwykle czołnem między łabędzie. Wraca do Warszawy, wchodzi w świat, umizga się do pani Z. kokietki; jenerał chcąc go od niéj ratować wysyła z Warszawy, lecz pani Z. przez jakąś intrygę nierozwiniętą wysyła go do więzienia, a potém sama niby ratuje. Matka Władysława umiera, on się opamiętywa, dzięki Pijarowi, który mu jego życie całe tłumaczy religijnie, i dowiaduje się, że Julja usłyszawszy o jego umizgach poszła za mąż. Idzie do wojska, tam zdybuje Leona, lecz się od niego nic o Julii dowiedzieć nie może, bo oczywiście byłby już koniec. Władysław odziedzicza majątek po stryju, którego ciekawa jest ostatnia wola, zapisuje bowiem majątek synowcowi pod warunkiem, aby każdemu dziadowi dał grosz za dusze zmarłe, utrzymywał kapelę w parafialnym kościele i jeździł czterema siwemi końmi“. Na tych dwóch cechach religijności w jałmużnach i kapeli, a narodowości w krakowskiéj uprzęży urywa się opowiadanie, bo dano znać, że kolacya gotowa. A tymczasem z bliskiego miasteczka jadą gdzieś na bal Helusia i Karusia z kochaną ciotunią; wyjazd pani z miasteczka ze sprawunkami, pudłami i Majesia na wierzchu z natury wzięty. Znowu zamieć, drugie sanie z czepka-

mi i **Majesią** błądzą, **Jędrzéj sługa** siada na koń i szuka zguby. Cała ta nocna scena przy karczmie, opis złodziejów, którzy się udają za przewodników, by panie obedrzeć, żywo odrysowane. Panie mdleją ze strachu: Karusia porywa za cugle, konie rzucają łotrów pod siebie i czwałem wlatują na dziedziniec Władysława, gdzie tylko co po kolacyi. Tu dopiero pokazuje się, że **Karusia** to **Julia**, tak nazwana dla tego, że ładnie śpiewała pieśń „**Mia cara**". Władysław w rospaczy, lecz autor chowa niespodziankę na sam koniec; **Karusia** bowiem nie poszła jeszcze za mąż, czego Leon nie miał czasu odkryć Władysławowi, bo zginął w pojedynku. Następuje dopiero wywod, co i dla czego, ślub i koniec. Styl jak wszędzie gładki, tu i owdzie potrząsający kwiatkami słów raczéj niż myśli, przy których tak miło w powieści odpocząć i zadumać; lecz żaden z charakterów osób działających nie jest należycie odcieniowany, bo nie wprowadzony w walkę istotną życia, któreby samym działaniem ich charakteryzowało. Jest to jednym słowem raczéj powiastka słów niżeli działania i wielce przypomina manierowane romanse dawniejsze doskonałe jako przykład gramatykalny stylu i składni słów, ale nijakie jako przykład mogący wyświecić praktyczną jaką stronę życia ludzkiego.

Szereg powieści w tym tomie zawartych kończy nareszcie „**Nie źli są ludzie**„ obraz z życia jak się autor wyraża. W żadnéj z poprzedzających obrazków i powieści nie widać tak dobitnie jak w téj braku tych własności jakie wedle zdania naszego dobra powieść czy obraz mieć powinny; jakoż dla téj głównie powiastki i to nie bez ważnych przyczyn rozpisaliśmy się na wstępie, o tém, czego żądamy po powieściarzu dzisiejszym. Niema w niéj ani zawikłania powieściowego, ani też plastyczności obrazowéj; rzecz bowiem cała jest długim i rozwlekłym opisaniem towarzystwa bawiącego u wód; zgromadzeni tam goście jak to bywa w kąpielach, chodzą, lulki palą, wodę piją i gawędzą niemiłosiernie o tym i o owym, raz o **gwiazdach**, w których pan Jan widzi książkę, to znowu o *Beduinach i puszczy, o postępie*, o którym pan Jan powiada: *„Jest to rzecz, o któréj wiele mówią, a ja wracam z Francyi, w odetkanéj butelce wietrzeje wino, kwaśnieje lub wysycha. Wszakże znasz panie Brunonie apparata chemiczne, których szklanne rurki przeprowadzone bywają przez retort kilka (?) pędzą w nich eter; żadna jednakże z tych retort nie jest pełną i żadna eteru nie daje sama przez siebie, a jeżeli je nie opatrzysz szczelnie, to go i nie będzie*... i tym podobne ciągną się rozmowy do rzeczy nienależące bez poezyi i bez myśli wyższéj; a przez to wszystko jako główne działanie plączą się składki robione przez panów i panie, wpadających wszędzie i wydzierających wszystkim rozmaite sprzęty na loteryę dla pogorzelców; aż nareszcie kończy się historya cała na balu loteryi i górnikach czeskich, którzy gdy niechcą brać nagrody za swoją muzykę, nastręczają autorowi uwagę, „*że teraz dopiero po raz pierwszy uwierzył w praktyczną stronę Słowiańszczyzny*. Nie zdybać tam także plastyczności obrazowéj, wszystkie bowiem osoby tak słabo odcieniowane, a jedną barwą składkowego zapału tak zamazane, iż wszystkie ich grupy nikną w głębi obrazu pomięszane i niewyraźne: wystają najwięcéj **pan Jan** niesmaczny marzyciel, który objechawszy pół świata, nieznając ojczyzny, którą zapewne w pieluchach porzucił, plecie jak na mękach i dziwi się nad zaletami ojczyzny, których dostrzegł dopiero w owém towarzystwie salonowców skąpujących jak zwykle fizyczne grzechy wodą, a moralne kwestą; i **sam autor**, który tu i owdzie poumieszczał ładne wierszyki okolicznościowe, z pomiędzy których najlepsze o panu **Xawerym**. Ale co gorzéj niema **prawdy**, czyli co jeszcze mniéj dobrze **prawda zfałszowana**. **Nie źli są ludzie** jest prawda, w którą zapewne wierzyć potrzeba, a przekonać miło, i też prawdę udowodnić przedsięwziął autor w swoim obrazku; **niezłych owych ludzi** szukając w towarzystwie wyższém, w towarzystwie, którego wady i cnoty już nam dobrze znane, któremu tak łatwo przychodzi złotem i grzecznością okupić przedajne zdania ludzi bez głów i ludzi bez serc, jeden tylko znalazł dowód, że robią składki na pogorzelców. Zapewne szpieg i nierządnica niezłemi będą ludźmi, niech tylko biegają z kwestą, przy któréj czasem i ucho i nieszpetna twarz mogą co zarobić. Czy i jak się objawiają nieźli ludzie pomiędzy temi dziewięciu częściami mieszkańców ziemi, którzy niemają z czego dawać do składek, bo walczą z potrzebami, walczą z jutrem, które codzień rospaczą i żądzą namawia i kusi, w to autor nie wdał się, ale miasto tego postanowił dowieść, że nieźli są ludzie w tém towarzystwie tak teraz spotwarzoném i dowiódł wystawiwszy nam obraz fałszywy, wymanierowany ludzi, którzy przyjechali się bawić pozostawiwszy liczne wioski swoje pod opieką zdzierających ekonomów i weseli, swobodni, wyróżowani cnotą, wyblanszowani filantropią, by się lepiéj zwodzić mogli między sobą, zrzucają po kilka groszy, których tyle mają wydartych może wczoraj od chłopka za szósty dzień pańszczyzny, od przyjaciela w djabełku, od sąsiada i krewnego w processie. Z tego co powiedzieliśmy, łatwo pojąć, jaka dążność téj powiastki, i lepiéjby

było, by żadnéj niemiała jak poprzedzające, niżeli taką, któréj szkodliwość i fałsz znając dzisiejsze stosunki społeczeńskie łatwo odgadnąć. Niechcemy tu się nawet rozpisywać, by nie tykać osobistości autora, którego talent przekupuje nas poniekąd; niechcemy się rozwodzić nad tą dążnością nie przypadkową ale pomyślaną, ani też rozbierać tych słów, które się autorowi wymknęły mimowolnie w téjże powieści. *„To byłaby czysta parafiańszczyzna autorska bawić świat drugiemi, a nie zabawić sobą.“* Powiemy tylko, że autor nie jest parafianinem, jeżeli prawdę powiedział o drugich, choćby ta prawda odkryła błoto, krew i smród pod bielidłem, różem i wonnémi wodami; parafianin jest ten autor, który na przekor prawdzie same tylko widzi bielidło, róż i perfumy; a jeżeli używa na to pióra i imienia swego, wiedziony myślą własnego zysku, myślą schlebiania części możnéj narodu, walczenia w szeregach tego fałszu, któremu prawda chce zedrzeć maskę, jakaż mu nazwa przystanie?...

Lecz dosyć o tém, więcéj nawet, niżby nam miło było powiedzieć. Obrazy są słabe i powinny były pozostać w przeszłości niedrukowanéj, lecz autor onych ma dosyć talentu, by nowemi utworami nagrodzić zawód publiczności zrobiony. A tém więcéj teraz, kiedy jak wiemy przeszedł na pole naukowe, życzymy mu tam powodzeń, które go nie miną zapewne, jeżeli się poprzednio przygotował długiemi i sumiennemi studiami, boć w naukach przyrodzonych natchnienie nic nie pomoże; myśl poetyczna choć mniéj prawdziwa olśni zapewne takie naprzykład towarzystwo kąpielowe, towarzystwo, które pochlebia pióru, póki go potrzebuje, lecz w gruncie nienawidzi pióra, téj dzisiejszéj broni najsilniejszéj a obosiecznéj, do któréj rozumie ono dobrze, że prócz ręki, trzeba i brakujących mu głowy i serca: ale uczone dzieła piszą się dla uczonych. Dla mniéj uczonych może być także pożytek, jeżeli poeta i uczony razem, potrafi skupić naukę swoję w koło myśli pożytecznéj nam dzisiaj, myśli postępowéj, myśli społecznéj, o któréj rozwinięcie nam dzisiaj więcéj iść powinno, niżeli o sieć rzek na ziemi naszéj, niżeli o zbiór motylów. Rzeki zostaną rzekami, na staréj ziemi, i po téjże zawsze latać będą te same gatunki motylów. Do takich zbiorów martwych będzie zawsze dosyć czasu brać się, gdy krew zastygnie, serce zziębnie, a w głowie ścieśnieje jak w szufladce na insekta lub minerały. Póki jest zapał, póki jest myśl, piszącym wypada iść przed nami naprzód na drodze postępów! Zbiory i motyle zostawmy starcom i wrogom, którzyby chętnie nas wszystkich wysłali zbierać kamyczki, dobywać kruszce i spisywać różnice skrzydeł motylich.

MODY.

Paryż, dnia 17. Marca 1845.

Nowe tkaniny już się ukazują i zapowiadamy niektórym z nich upowszechnienie. Na przodzie kładziemy lśniące tafty. Dwa zwykle kolory są w nich połączone, a szczególniéj odznacza się kolor daliowy z białym, lub niebieskim, bladofijołkowym, zielonym.

Tak zwany taft bajaderowy jest w ukos prążkowany.

Między lekkiemi tkaninami odznacza się krepa Isly, która różni się od grenadin tęgością i mocą.

Mantylle i długie szale zapewne i w nadchodzącéj porze letniéj nosić będą, lecz nie możemy tego przemilczeć, że tylé namnożyło się drukowanych szali bareżowych i z innych tkanin, w tak rażących i dziwnych kolorach, że dział ten odzienia zapewne wyjdzie z mody. Świat elegancki niezawodnie do innych przeniesie szali swe upodobanie, np. do kaszemirowych lub z pięknéj krepy chińskiéj, w piękne wzory, hafty lub inne ozdoby opatrzonych. Na każden przypadek nosić będą do szali chińskie krepy, które w tym roku w Lugdunie z wielkim smakiem wyrabiają.

Mantylle i płaszczyki na półstrój dla tego zasługują na pierwszeństwo, bo zgadzają się z teraźniejszym krojem sukien i mogą być zmieniane według pory, wieku, ubioru i wzrostu.

Zdaje się, że kapelusze ulegną wielkim zmianom. Widzieliśmy jeden pod nazwiskiem à la Pamella, z odstającym na licach obwodem, aby nie ścieśniać lokom przestrzeni.

Szlafroczki robią z małemi połami zwanemi karakos, ozdobionemi haftem lub guzikami.

Półrękawki zawsze się jeszcze podobają, niektóre z nich były bardzo eleganckie. Muślinowe długie szale haftem opatrzone podszywają różową, niebieską lub lilijową marseliną.

Spodnice damy odznaczającéj się dobrym smakiem, są haftowane i garnirowane. Najnowsze nie mają tego, co nazywają tournure, bo poznano się na tém, że źle wygląda przesada w biodrach, która przez spodnice sztywne, zbyt obszerny obwód sukien i fałdzistość zbyteczną się powiększa.

Objaśnienie ryciny.

1., 2., 3. Ubiory dzieci.

4. Czepek tulowy ozdobiony kwiatami i wstążką. Suknia z mory, oszyta sznureczkami.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*